№ 37.

OPIEKUN DOMOWY

ROK VII.

Serja Druga.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Warszawa, dnia 1 (13) Września 1871 roku.

Od Redakcyi.

„Opiekun Domowy“ w kwartale 4-tym r. b. wychodzić będzie w tymże samym co i w 3-cim kwartale formacie, zakresie i kierunku. Zamiarem Redakcyi, która, jak o tém już wiedzą czytelnicy, z przejściem Wydawnictwa w d. 1 Lipca r. b. w inne ręce, z rąk poprzedniego Wydawcy, cały kierunek Pisma zmienić z gruntu i odświeżyć postanowiła — było, jednocześnie z poczynieniem zmian innych, tyczących się saméj treści i wewnętrznéj wartości artykułów, odmienić zarazem w tym jeszcze roku i program dotychczasowy na inny. Gdy jednakże pozwolenie na rzecz tę nie nadeszło jeszcze z Ministerium, a przytem pośpiech ten w odmianie całego zakresu Pisma pociągnąłby za sobą niedogodności, których wyłuszczenie byłoby tu nie na miejscu, — przeto cały ten zamiar zupełniejszego zreformowania „Opiekuna Domowego“ musieliśmy pozostawić na rok przyszły, kontentując się i na ten ostatni w r. b. kwartał jeszcze tém samém, tylko stopniowém i systematyczném wedle możności ulepszaniem naszego Pisma, ślad którego, o ile się spodziewamy, najmniéj nawet łaskawi na nas czytelnicy, dojrzeć musieli.

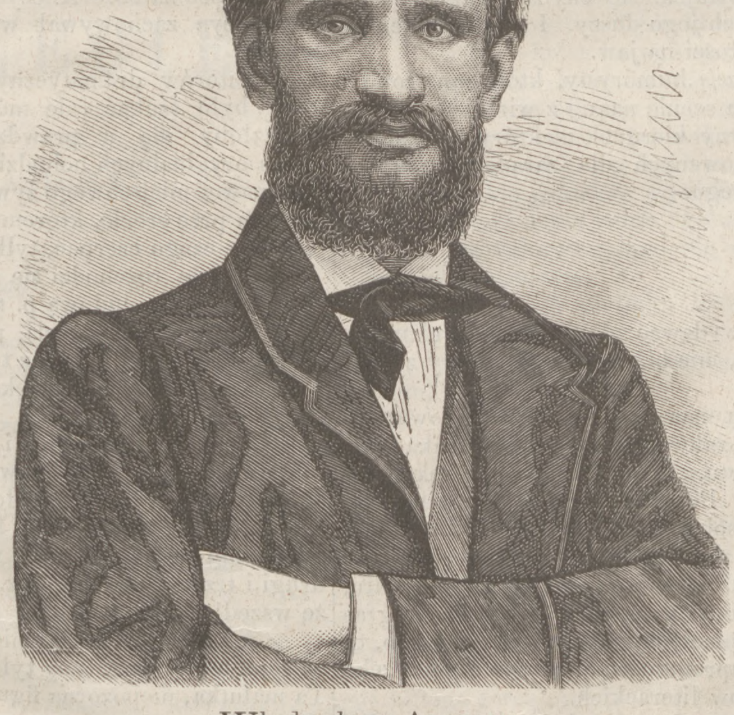
Rozszerzając z każdym prawie tygodniem liczbę i rozmiar stałych rubryk, które za podstawę każdego pisma peryodycznego uważamy, myślimy i nadal przegradzać je jak dotąd najrozmaitszymi, pod względem rodzaju i formy swojéj, artykułami, w których wszystkich szukać będziemy głównie dwóch rzeczy: *życia* i *postępu*. Co do reszty... sąd o nas nie do nas należy.

Łaskawi prenumeratorowie z prowincyi raczą na ten kwartał nadchodzący nadsyłać prenumeratę swoję w ciągu zaraz bieżącego miesiąca Września, jak najwcześniéj i jak najprostszą drogą, mianowicie przez pocztę do Redakcyi — pod adresem: ulica Chmielna, blisko Nowego-Światu, Nr. 1260d (3 nowy).

Za regularne otrzymywanie Pisma w porządku i czystości, bez pomięcia go i zwłok niepotrzebnych w odbiorze, przy dotrzymaniu tylko powyższego warunku Redakcya ręczy i samę tylko Ekspedycyę Gazet nie nas winić należy, gdyby z przybyciem któregokolwiek numeru stało się przeciwnie.

Nowym pp. Prenumeratorom, którzy dotąd wcale nie zapisywali się na „Opiekuna“ a teraz za rok cały 1871, (z warunkiem naturalnie przesłania im kompletu wszystkich tegorocznych, wyszłych od 1 Stycznia, numerów) zwykłą prenumeratę uiszczą, w kwocie rs. 4 kop. 80 z prowincyi i rs. 3 z Warszawy, — Redakcya przyrzeka, jako dodatek w miejsce Czytelni, z któréj korzystali inni zapisujący się na początku bieżącego roku, a któréj nie posiadamy, poemat Bogumiła Aspisa p. t. *Sen Odrodzenia.*

Cena „Opiekuna“ pozostaje się taż sama, a mianowicie: rocznie na prowincyi rs. 4 kop. 80, — półrocznie rs. 2 kop. 40, — kwartalnie rs. 1 kop. 20. — W Warszawie — rocznie rs. 3 — półrocznie rs. 1 kop. 50 — kwartalnie kop. 75 — miesięcznie kop. 25.



Władysław Anczyc.

WŁADYSŁAW ANCZYC.

Gwałtu! humorystów nam trzeba, wołają ludzie. Dawajcie nam humorystów! Gdzie u licha ci humoryści się pochowali?

Rzeczywiście, gdzie się pochowali?

To pewna że ich niema. Mieliśmy Wilkońskiego i Wilkońskim wojujemy ciągle. Gdy kto nam chce zarzucić brak humorystów w literaturze naszéj, odpowiadamy: a Wilkoński? — Tak, prawda, ale Wilkoński dawno już umarł, zaś spadek po tym kochanym panu Auguście ciągle jeszcze otwarty i nikt się po niego nie zgłasza.

Potrosze wszakże i ten i ów z piszących okazuje pewną pohopność do humoru. Jednym wprawdzie idzie to jak z kamienia, drugim lżéj trochę, ale tego prawdziwego humoru, co to bije ze źródła i musi bądź co bądź wydobyć się na jaw, bo go człowiek nie ukryje w sobie ani nie zatraci, choćby chciał, to już naprózno żeby u nas szukać.

Ba! gdyby to humor na tém zależał, aby wydrwić jaki oderwany frazes albo opowiedzieć anegdotkę albo zaciąć coś z gruba bardzo z gruba, tak że delikatniejsi zatknęliby uszy, toby to jeszcze może się udało. Przecież mamy tu aż dwa pisma humorystyczne, i każdy przyzna że im się nieraz *coś uda*, inne znowu publikacye choć nie przybrały na się urzędowéj barwy w tytule, probują jednak ratować się dowcipem stąd lub zowąd zdefraudowanym. Zda-

rza się więc, że jedni drugich przepisują, albo zabierają skąd się da, bo sumienie pod tym względem elastyczne, a siódme przykazanie w literaturze nie bardzo jest szanowane.

To wszystko jednak tak podobne jest do prawdziwego humoru, jak gęś do sapera Napoleońskiego.

* * *

A skąd się ten humor rodzi, jakiemi drogami się wyrabia, któż to określi?

Trzeba przeboleć dużo, przeboleć naprawdę, przejść wielkie przesilenie cierpienia, żeby humor wyszedł na wierzch, jak poty po przełamaniu silnéj gorączki.

Boć to nic więcéj jak tylko reakcya.

Humor wydobywa się u jednych z głowy, u drugich z serca, a powód zawsze jeden i ten sam. Dzieje się to wówczas, jeżeli serce i głowa przepełnione są—ale nie śmiechem z pewnością.

Jeżeli się więc zdarzy wam napotkać człowieka obdarzonego tą werwą, coby śmiech w kamieniach wzbudzić mogła, bądźcie pewni że mu w życiu nie do żartu. Kochał on, cierpiał, czuł silnie, ale wszystko przetrawiło się w nim i wyszło na jaw humoru. Szukajcie głębiéj, bardzo głęboko, tam może pozostały już tylko zgliszcza same, oczarowanie, zwątpienie. I z pośrodka tych popiołów błyszczą jaskrawo gwiazdki humoru, świadcząc, że tam iskra życia tli jeszcze.

A ludzie wołają: „Jaki to człowiek wesoły, jak to jemu dobrze musi być na świecie.“ Zapewne, że mu dobrze, bo tego komu cierpienie nerwy znieczuliło, nie ustraszy już ból ani rana. Niejednę taką próbę przeszedł on już.

* * *

A teraz się pytam sam siebie, dla czego pod podobizną Anczyca pisałem ten wstęp cały? Miałożby się to wszystko stosować do niego? Alboż ja wiem? Tak oto, wypisało się, więc zostawiam; szkoda przekreślić, bo rzecz prawdziwa. A czy Anczyc należy do kategoryi tych ludzi co wielkiemi cierpieniami przychodzą do chwilowego uśmiechu, jego samego spytajcie się chyba. Takie rzeczy leżą w głębi człowieka, w tajnikach jego duszy. I najskrzętniejszy bijograf nie wydobędzie tych skrytości na jaw.

Anczyc posiada u nas *reputacyę* humorysty, którą mu zrobiły zrazu komedye ludowe, przyjęte na scenie naszéj z wielkiém powodzeniem, a następnie pewien wybitny kierunek niektórych licznych prac literackich, głównie podejmowanych dla zaradzenia potrzebom i wymaganiom życia codziennego.

* * *

Bo niestety, kiedy przyjdzie wydawać zdanie o piszących u nas, jeżeli chcemy sądzić sprawiedliwie, nie bierzmy nigdy miary z tego co zrobili.

Obecnie literatura poszła u nas na targ, stała się towarem. Musi sama radzić sobie, sama się zalecać, sprzedawać, szukać kupujących i dobrych miejsc odbytu. Któż bo jéj poda rękę albo przyjdzie z pomocą? Nikt zgoła. Pełnoletnia, wołają, nie potrzebuje przecie opiekunów, niech sobie radzi jak może. Jeżeli zda się na co przyjmiemy ją jako rzecz zbytkowną; jak się już opatrzymy w chléb i mięso, w buty i odzież, w wino szampańskie i cygara, w meble i obicia, w portiery i wazony, w turniury i podróże za granicą i zbędzie nam cośkolwiek pieniędzy od tego wszystkiego, to wówczas kupimy książkę albo zaprenumerujemy pismo, bo trzeba coś przecie zrobić dla tych żebraków literackich.

A broń Boże, niechże nas nie nudzą. Oświadczamy zaś z góry żeśmy trudni do zabawy. Jeżeli rzuciliśmy im rubla, to niechże nam się ten rubel opłaci. Zgoda na politykę, bo trzeba wiedzieć co się w świecie dzieje, i powieść ujdzie jeszcze, można nią bowiem na równi z bezykiem zabić czas od biedy, przełknie się i feljeton, bo ta pusta gadanina czyta się bez znużenia, ale wara od poważniejszych rzeczy, bo my poważnych rzeczy nie lubimy.

Jeżeli chcecie takie utwory drukować, to drukujcie je dla siebie i sami sobie płaćcie. My żądamy lekkiéj strawy, boimy się jak ognia niestrawności literackiéj i chcemy jasno i wyraźnie określić wam wasze położenie:

Nie jesteście tutaj niezbędni, ale—tolerowani.

Oto główny powód dla którego trudno wydać sąd o działalności literackiéj autorów naszych. Robią nie to coby chcieli, nie to coby powinni, ale to co muszą robić.

* * *

Anczyc więc musiał żyć a życie dla niego w bardzo trudnych przedstawiało się warunkach. Od dziecięcych prawie lat trzeba mu było samemu prawie myśleć o sobie.

Nie jest tu moim zamiarem pisać bijografii Anczyca, nie mam bowiem danych po temu, a powtóre, bijografija niewiele uczy, najczęściéj bowiem przemilcza o tém co stanowi grunt, na którym cały człowiek duchowy powstał. Takie chwile przetworzenia się i ostatecznego ukoronowania gmachu, dla wszystkich oczów widomego, pozostają zwykle tajemnicą, którą tylko traf odkryć może, a najczęściéj dzieje się to po śmierci człowieka, kiedy cały obraz jego działalności gotów już i ukończony.

Powiedzmy więc jakim był Anczyc w pierwszéj swojéj młodości *z wierzchu*, a przynajmniéj jakim być się wydawał.

„Sprytny chłopak, mówili ci co go znali. On do wszystkiego, da sobie radę w świecie. Bo to i wierszyk sklei i zaśpiewa i dowcipy u niego sypią się jak z worka,—nie znudzisz się z nim nigdy.

I skąd to takiemu wzięło kierować się na farmaceutę? co mu potém? Ojciec był aktorem, toż i synowi wartoby aktorem zostać. To nawet wydaje się właściwa dla niego karyera. Bo to każdego w lot chwyci, śmieszność wydobędzie na jaw, a tak utrafi, że tylko stać i trzymać się za boki. Widocznie tylko że ojcu niewesoło było z jego aktorstwem, odradzał je więc i synowi. Chciał widać żeby mu lepiéj działo się na świecie. A szkoda, wielka szkoda. Ten chłopak to prawdziwy skarb dla teatru.“

Rzeczywiście, Anczyc był prawdziwym skarbem dla teatru, ale nie w tém znaczeniu, w jakiém chciano to wówczas rozumieć.

* * *

Chociaż wię narzucone mu z góry ukształcenie pchało go na inną drogę, młodzieniec wieszał się ciągle przy scenie, a znał ją, jak to powiadają, na palcach.

Scena Krakowska różne przechodziła koleje, ale zawsze było tam patrzéć na co.—Anczyc więc patrzał i umiał patrzéć; zebrane zaś obserwacye zachowywał w sobie, przerabiając je i przetrawiając powoli.

Autorów dramatycznych oryginalnych wtenczas ze świecą trzeba było szukać (nie mówimy tu o Fredrze i Korzeniowskim). Znalazłoby się w prawdzie od biedy dwóch czy trzech, którzy za oryginalnych uchodzili, ale cóż, kiedy nie było w nich ani skry nawet miejscowego żywiołu. Działo się to zaś po owym gwałtownym przewrocie, któremu uległ układ społeczny w Galicyi; było więc z czego czerpać, tylko nie było komu.

I nagle rozchodzi się wieść, że teatr Krakowski ma przedstawiać komedyjkę ludową p. t. „Chłopi arystokraci.“

Rzecz wzięta z życia, przedmiot aż wre aktualnością. A toż to dzisiejsza chwila, — obraz ten ciągle przesuwa się przed oczami.

Sam już tytuł zaciekawia, teatr się napełnia publicznością, wszyscy rozciekawieni.

Dalibóg to zabawne i nowe i oryginalne. Patrzcie państwo, i dowcip prawdziwy i śpiewki co to mile brzmią w uchu i śmiechu aż się przelewa przez gardło. A wszystko trzyma się jakoś kupy i wychodzi okrągło. Jest komedya, dalipan komedya, i to miejscowa; téj się chyba nikt nie zaprze. Więc brawo! powtórzyć ją drugi i trzeci i czwarty raz. Przyjdziemy wszyscy; niech teatr wié że wszedł na dobrą drogę.

A kto autorem? wymieńcie nazwisko autora? To jakiś zuch, co się nie trzyma rutyny tylko po swojemu chlaszcze. Co? Anczyc? Ta malutka, niepozorna figurka, ten sam Anczyc który mi onegdaj sprzedał magnezyę przysposobioną na sposób angielski? To niepodobna, on się jakoś nie wydaje na to. Emetyk i poezya nie idą z sobą w parze... chyba pomyłka być musi.

Ale nie pomyłka. Upewniają nawet że dyrektor teatru zapłacił Anczycowi dziesięć reńskich za jego sztukę. Dziesięć reńskich, summa ogromna! Odkąd teatr Krakowski teatrem, jeszcze tyle za literaturę dramatyczną tam nie płacono. Musi to chyba być rzecz istotnéj wartości. A nawet ze Lwowa przysłali po manuskrypt i tam będą przedstawiać. Licho nie śpi, może i Warszawa się dopomni.

Tożby więc doprawdy ten Anczyc miał mieć talent? Pisał ci on wprawdzie wierszyki na imieniny i różne rymowane drobnostki

ależ takie drobnostki to się każdemu udadzą, od czasu do czasu. Ale komedya! No, dziwne rzeczy dzieją się na świecie.

Na większe zdziwienie niedowiarków, po Chłopach arystokratach pojawili się „Łobzowianie.“ Nie zwlekano z przedstawieniem, a i zapłata była sutszą.

Oj, ta zapłata, to smaczny grosz. Zaczęły się więc pojawiać inne komedyjki, już mniejszéj daleko wartości, byle prędzéj. A wszystko na tle ludowém. Teatr chętnie przyjmował i szło to jakoś szybko po sobie.

Ale tło ludowe w szczupłym trzyma się zakresie i ciągle w jednem krąży kółku. Scena zaś wymaga rozmaitości. Przebierało się śpiewek a i dowcipy powszedniały. Publiczność szemrała na powtarzanki, pragnęła czegoś nowego. Trzeba było zmienić pole dotychczasowych zapasów, przenieść się w inne szranki. Anczyc zaś, czy nie umiał, czy nie chciał tego zrobić. Czuł że mu grunt z pod nóg się wysuwa, ale innego wynaleść dla siebie nie potrafił.

Ratował się więc broszurkami i współpracownictwem do pism ulotnych. Pisał wierszem i prozą z pewną łatwością a pisał wiele. Już literatura weszła u niego w życie i na niéj pragnął byt swój budować. Nazwisko jego stanowiło już pewną firmę; puścił się na satyrę, był biczem na wady i śmieszności ludzkie, chłostał na prawo i lewo, lękano się go. A ten którego zaczynają się lękać, już stoi o własnych siłach.

Pole jednak działalności, na którém się obracał, wydawało się za szczupłém Anczycowi. Wzdychał do szerszego zakresu, do głośniejszych tryumfów.

A w owym czasie właśnie komedya „Łobzowianie“ przedstawioną została na teatrze Warszawskim i zyskała tu odrazu wziętość niemałą. Warszawa uśmiechała się Anczycowi. Postanowił więc zwiedzić nasze miasto i osiąść w niém, jeżeli okoliczności będą ku temu.

(Dokończenie nastąpi).

JESZCZE

O HAMLECIE.

przez

BOGUMIŁA ASPISA.

(Dalszy ciąg).

Poloniusz musi to być ideał *praktycznego rozumu*.—Czemże jest dworak? .. Płaszcz na dwóch ramionach — uśmiech z jednéj tylko ust strony — oczy suche — w piersi gaz zamiast serca.

No, tak znowu tylko nie można! Na pochwałę charakteru muszę przytoczyć wszystko, co tylko na pochwałę jego sama natura wyrzekła. Zrobię go czułym (niby) ojcem dla córki — tak! Będzie też równie czułym dla syna Laërtesa. Wyprawiając w świat go powié mu rad parę, na które aż serca całéj *mierności* siedzącéj w łożach wyskoczą!.. Tak, tak trzeba będzie pokazać Poloniusza . . boby mi jeszcze ktoś kiedyś zarzucił, że ja chcę tylko samych genijuszy na świecie. . że Hamletów tylko pragnę. . resztę w pień chcę wyciąć. . chcę! — ja! . . który niczego nie chcę prócz atramentu i pióra do pisania tego, co tu widzę! Zarzuciłby mi ktoś.. i to gdzie jeszcze!... Tu, tu, w Hamlecie, który jest — być musi — tak — koniecznie musi być . . tylko mędrcem!

Właśnie koléj teraz na niego.

W porę wspomniałem o nim.

Zobaczmy czy jest takim.

Najpierw . . czémże jest dla mnie, dla mnie samego Hamlet poza sceną?

Młodzieńcem, który posiadając w ostatnich ich kończynach wszystkie władze duszy, od pamięci—najniższéj aż do najwyższéj—imaginacyi, mając jednem słowem, genijusz, — doszedł za pomocą niego do ostatnich także kończyn *wiedzy*. Jedno nauką, drugie intuicyą (i tą najwięcéj!) trzecie wrażeniem, wreszcie sercem, tak zagarnął w mózg własny, iż tam, jak na czole cyklopa, wyrosło oko, którém jednakowo świat podziemny i ziemski przegląda.. przegląda jedném słowem — *prawdę* . . prawdę, tak — ale także ziemską. Nad niebem, nad nieśmiertelnością myślał także dużo, więcéj niż wiek jego młody mu zakreślał, lecz . . jako nie znoszący z natury nieświadomości i sceptyk z przeświadczenia, bo sceptycyzm właśnie dał mu wiarę we wszystko, czém dziś włada i co mądrość jego stanowi, — zarzucił myśl o niebie. Na tym jednym więc tylko punkcie, stawiony w obec powszechnéj wiary społeczeństwa Hamlet jest tylko sceptykiem. Zresztą . . to mędrzec, który o niczém nie wątpi, bo wszystko wié. Ziemia i żyjący na niéj ludzie we wszystkich swoich fazach i przejawach, *życie*, krótko mówiąc, to kręci się jak ze szkła kołowrotek przed jasném okiem tego młodzieńca, który widząc wszystko i wszystko macając myślą a nicość uznając zarazem wszystkiego, pyta się tylko sam tego nieba, w które z musu nie wierzy, poco on, on sam właśnie ciężar życia tego podejmować musi?— Jest młodym, by mu do twarzy było to pytanie—i młodym . . by natura łacniéj wyrabiała z nim wszystko, w co tylko duch się nie wtrąca.

Aha!—właśnie! . . Czy Hamlet ma serce?

Ma—powiedziałem to już wyżéj. Alboż mędrcy go nie mają?.. albo mądrość zdoła ten kawał mięsa wydrzeć człowiekowi z piersi?

Więc i Hamlet ma serce — Tak —

Kocha przecie dużo rzeczy na téj ziemi: piękne widoki, kwiaty, matkę, zmarłego ojca, przyjaciela . . bo i tego daję mu nawet!.. wreszcie — Ofelję.

Lecz nad wszystkie, wszystkie miłości jego jest jedna — najsilniejsza, najpotężniejsza — a tą jest.. miłość *samotności*. I to miłość! i to przecie téż kochać trzeba!

Czy dobrze jest, że w nim zestawiam tę negacyę przez *miłość* saméjże *miłości*? że go robię w tym jedynym tylko punkcie życia namiętnym?

Dobrze jest. Tak trzeba.

I takiego dopiero Hamleta puszczę na scenę. Tak—tak. Kochając Hamlet będzie szukał nie pieszczot, lecz . . samotności. Dlaczego?

Bo wié o nietrwałości życia i wié, że *kochać cokolwiek, to znaczy jutro się rozczarować*.

Pragnąc czego— (bo Hamlet będzie miał i pragnienia)— będzie pragnął . . śmierci.

Wierząc — będzie wierzył w nicość.

Namiętności ludzkie które wykręcają ludziom serca . .

myśli—które im wykręcają głowy. .

dążenia—które im ruszać się każą. .

wreszcie cała gra życia odbywająca się tu na ziemi, — jest dla niego niczém inném, jak tylko nieskończoną plątaniną przeciwnych sobie najczęściéj a w każdym razie najrozmaitszych żywiołów, które wszystkie jednakże w jedném i tém samém źródle biorą początek, są te same i noszą jedno ogólne miano—*materya*..

gra kolorów tylko—nic więcéj. Stuk i huk od uderzania na siebie kontrastów. .

gdyby ich nie było, byłaby cisza — inercya — śmierć . . nie byłoby świata wcale.

On sam, Hamlet, myśląc w ten sposób, czy widzi się żyjącym, czy przeciwnie?

Wierzy-ż on sam w swój byt, w siebie, czy nie?

Myślałem już raz o tém i .. kazałem mu wierzyć, aż tak wierzyć, że przecie chce zdjąć z siebie ciężar tegoż życia — pragnie śmierci.

Zresztą.. będzie się pytał: „być albo nie być?“

Tém pytaniem już pokaże, że żyje.

W czémże to jego życie?

A oto w czém.

Hamlet, powiedziałem, ma serce. Ma je jako człowiek, jako *materya*. Konieczne akcessorium zrodzenia się na ziemi. Włóknami tego serca, jak roślina korzeniami swymi, przyczepiony na tysiącu punktach do społeczeństwa, które go wydało i jest mu gruntem pod nogami, Hamlet o nicości samego siebie, serca w sobie i tych włókien jego przeświadczony, musi się jednakże targać ciągle na nie i rozumem dopiero, jedno po drugiém, zrywać. To zrywanie trwać powinno przez cztéry akty— w piątym Hamlet nie powinien być już niczém, jak tylko samym duchem, rozumem, bezsercem, wyzwoloną ze wszystkich więzów ziemi mądrością i, jako *mądrość* taka właśnie, być automatem co do ciała, które lada podmuch obali, bo już duchowi temu do niczego nie jest potrzebném.

Pojedynek?— Dobrze . .

Gdyby mu kazano tańczyć—tańczyłby nawet.

Czy w tym piątym akcie jest już przeto Hamlet szczęśliwym? Tak. Całém szczęściem mędrca, któremu mądrość mówi, że *szczęścia niema wcale na ziemi.*

I czy to już wszystko?

Tak.

A teraz.. jakże mój Hamlet wygląda na deskach samych sceny, raczéj.. co ja mówię! — nie na deskach, a w kajecie tym oto moim?

Zobaczmy.

Powiadają mu, że się *duch* ojca jego ukazuje nocą i straszy. Powinien sobie wprzód na to pomyśléć: błazeństwo! i dopiero potém głośno, choć zawsze samemi tylko jeszcze ustami—zadziwić.

Czy tak zrobił?

Tak.

Duch ten ojca ukazuje mu się potém naprawdę. Czy go przyjmuje Hamlet jak mędrzec, jak w każdym razie sceptyk co do *zaświata*, w *zaświat* nie wierzący? Czy czasem scena jego z *duchem* nie jest za gorąca? Czy w niéj Hamlet nie wygląda jak młodzian-marzyciel, którego nowe zjawisko przestrasza tylko w pierwszéj chwili, ale który wkrótce zaraz w istność mary uwierzywszy, chciałby iść za nią choćby do samego piekła po prawdę?

Nie—tego niéma w Hamlecie — niéma. Aktor, który tę rolę grać będzie, nie powinien się tu zrywać ani szamotać ani też nawet głosem zbyt podniesionym śpiewać. Lecz powinien, jak się godzi mędrcowi młodemu, który ludzką mając naturę i będąc przeto rad wszystkiemu, co tylko przypuszczeniom jego jakimkolwiek chwilową choćby podporą się być zdaje, pamięta jednakże o głównéj prawdzie, któréj się dopracował myśleniem i o tyleż zbyt nie jest pohopnym do uwierzenia w coś nowego,— jak się godzi takiemu mędrcowi, powinien działać przeważnie z refleksyą, w pewnych tylko miejscach okazując wstrząśnienie i zapęd, który zawsze tylko będzie w nim chwilowym napływem krwi do serca, działaniem zmysłów.

Hamlet kocha ojca ile tylko serce takie jak jego, w piersiach syna jak on, kochać może. Chcąc się przekonać o zbrodni dokonanéj na tym ojcu swoim,—co w rezultacie jest zachceniem zwierzęcéj tylko strony jego natury,— nie wié, choć wié o tysiącach innych rzeczy, że mądrość jego, która działa w nim ciągle i bezustannie, zlegalizuje tak w chwili, gdy przyjdzie mścić się już za tęż zbrodnię,— tąż zbrodnią samą, jak i wszystko inne na świecie. Że mądrość ta przyśnięta tylko na chwilę pod odurzającym ją zmysłów wpływem, odezwie się w chwili stanowczéj właśnie, z głębi głowy do ręki miecz trzymającéj i rękę tę obezwładni i powie jéj: „porzuć miecz!— kogóż bo chcesz zabijać i za co? — czyż Klaudiusza tyś stworzyła że go chcesz zniszczyć?—czy w Klaudiuszu *zbrodnię* zabijasz na wieki?“

Serce się odezwie tysiąc razy jeszcze: „zemsty mi trzeba.“

A mądrość za każdym razem podobnie jeszcze mu odpowié: „co ci po niéj?“

I bohater mój w wiecznéj téj walce pomiędzy krwią, sercem, zmysłami i — wiedzą własną, będzie chciał ciągle być kochającym synem, przyjacielem, obywatelem i kochankiem, a będzie w rezultacie samym mędrcem tylko, który tylko waży, rozmyśla, wnioskuje, pyta się, próbuje, wątpi i znów wierzy, lecz który nigdy na nic się nie zdobędzie, co choć z miana podobném być może do czynu. Dla niego czynem, bytem całym, jest jego *myśl* sama i ponad nią on nic nie ma wartego podjęcia!

Czy dobrze teraz, mając takim już Hamleta, przedstawiłem scenę jego z matką?

Dobrze.

Ta struna natury, co się zwie synowstwem, najmocniejsza może ze wszystkich w człowieku. Najczynniejszym też być powinien w roli téj Hamlet. Jeśli gdzie się szamotać, to tu pierwszy raz prawdziwie będzie.

Zabije nawet w rozdrażnieniu tém kogoś — zabije — tak — Hamlet na czyn się zdobędzie!.. na czyn!.. zamknąwszy oczy prawie— przez kawał grubego płótna — przez kotarę — ofiary swojéj widzieć nie mogąc nawet — tryśnięciem krwi z rany brzydzić się nawet nie potrzebując.

Możność czynów takich jedynie leży w attrybucyach charakteru Hamleta i dlatego ta scena dobrą jest także — dobrą — nic w niéj nie poprawię.

No a teraz: *Być albo nie być.*

Monolog ten treścią sztuki całéj być winien.

Czy jest nią?

Jest.

Hamlet w nim jest cały sobą; *co* śnił kiedyś nim doszedł mądrości i o *czém* wié już dziś napewne, wypowiada. Jedyny też sceptycyzm jego, który w nim żyje jeszcze i nie zamienił się w pewnik, w prawdę, znajduje sobie godziwe ujście w téj scenie. Hamlet w niéj wreszcie pokazuje mądrym i głupim razem, że waryactwo tak zwane, że paradoksalność w myślach, nieład tychże myśli i ich anarchija, ma równie legalną podstawę bytu na téj ziemi, jak.. logika, — jak stoicyzm, — jak geometrya!.. Sceptycyzm Hamleta wydaje się tu wiarą jak każda inna. — „O wszystkiém wątpiąc nawet — mówi, raczéj prawie mówi w monologu — nie wątpiłbym jeszcze o potrzebie *wątpienia.*“ I duchem słów tych tylko samych, pomimo że pytaniami swemi neguje ciągle wiarę w duszę, w zaświat, w nieśmiertelność, — budzi też wiarę z drugiéj strony, odsłaniając naraz widzowi zaczarowany świat cudów myśli, który przecie, (każdy to odczuwa!) z téj ziemi być nie może. Z negacyi swojéj o *nieśmiertelności* Hamlet nie pewnik lecz hieroglif tylko robi, sam się śród niéj, śród niéj właśnie ukazując czémś więcéj jak *śmiertelnym*!

Słucha go Ofelija — bo ta tylko jest godną tego i że na eszcie dopowiada osobą swoją sama wszystko, czego Hamlet nie domawia słowami. Dla Ofelii zresztą monolog ten powinien być jednym szczeblem bliżéj do waryactwa.

I czy jest nim?

Jest.

Czy już wszystko o Hamlecie?

Nie, nie wszystko jeszcze.

Przepatrzmy, jak Hamlet znajduje się po śmierci Ofelii?

(Dokończenie nastąpi).

TEATRA OGRÓDKOWE.

Wśród spiekoty skwarnego lata, muza dramatyczna, wiedząc dobrze jak trudno jéj o wielbicieli tak gorliwych aby znieśli zwrotnikowe gorąco naszych sal teatralnych,— rostasowała się pod odkrytém niebem, wśród chłodu ciszy wieczornéj i zieloności drzew cienistych. Nad głowami widzów, w tych nowych jéj przybytkach, nie wznosi się już jarzący sztucznem, oślepiającém światłem żerandol gazowy, ale czysty, pogodny strop nieba, co, nawiasem mówiąc, powinno być wielką wygodą dla niektórych recenzentów teatralnych, lubiących górne apostrofy do „gwiazd świetlanych“ lub „bladego księżyca, całującego swymi promieniami warkocze drzew zielonych.“

I cóż czytelniku — może przejdziesz się z nami po tych dramatyzujących, śpiewających i tańczących ogródkach.... Wejdźmy do Tivoli, które bez zaprzeczenia ze wszech miar zasługuje abyśmy go zaszczycili pierwszą wizytą... Patrzaj, oto najprzód uderza twe oko wysoka, długa, gustowna werenda, rzęsisto oświetlona gazem, z imponującym na środku bufetem... To przybytek gastronomii... Naprzeciw niego wznosi się dopiero przybytek sztuki... teatrzyk elegancki i niewielki, gustowny, chociaż oszpecony długim płóciennym namiotem, który doń przytyka. Teatrzyk ten swą powierzchownością zapowiada wiele.. Na kortynie, wśród fałdów imitowanéj zasłony, wymalowany biały posąg geniusza sztuki, z laurowym wieńcem w dłoni. Po bokach wyobrażenia posągowe, symbolizujące muzykę i poezyę, odrapowane w fałdziste, greckie togi. To poważnie... ani słowa. Już to zaraz z miny można poznać, że Tivoli nie ma zamiaru żartować sobie ze sztuki.

Przed teatrzykiem rozciąga się przestrzeń okryta owym daszkiem płóciennym, wydzielona dla miejsc numerowanych, mniéj więcéj w taki sposób, aby złotówkowi widzowie tłoczący się po za baryjerą mogli przynajmniéj widzieć i słyszeć połowę tego, co się dzieje na scenie. To i tak jeszcze łaskawie.. nieprawdaż? Wszak w Wielkim teatrze znajdują się miejsca numerowane nawet takie, z których, pomimo największych wysiłków, można co najwięcéj zobaczyć żerandol i kawałek bocznéj kulisy. Prawda i to, że w Tivoli znaczny procent tego co mają słyszeć widzowie bywa pochłonięty przez chałaśliwy turkot dorożek... ale ktoby tam uważał na podobne drobnostki.

Wszak publiczność ochotnie napełnia ogródek, a nierzadko nawet rozerwie wszystkie bilety.

Przypatrzmy się téj publiczności...

Dzieli się ona na dwie wybitne warstwy: numerowane i nienumerowane. Numerowana, wykwintniejsza i szykowniejsza nierzadko

nawet poszczycić się może jaką ponętną, wyfiokowaną pięknością, albo brukowym elegancikiem, który z wdzięcznem zaniedbaniem rospiera się na twardych krzesełkach. Zachowuje się ona z przyzwoitą powagą i taktem, bywa zwykle protekcyonalnie chłodną, nie szafuje oklaskami, słowem, gra rolę istnéj śmietanki towarzyskiéj. Nienumerowana za to rekrutuje się z przeróżnych żywiołów, a w niedzielę, święta i soboty składa się przeważnie z lepszéj części klassy rzemieślniczéj. Tutaj już więcéj ruchu i swobody — nierzadko usłyszysz w chwili jakiéj łzawéj, dramatycznéj, energiczną sprzeczkę, naszpikowaną stanowczymi epitetami, albo też głośną protestacyę przeciwko zbyt cichemu mówieniu aktorów.

Ale słuchajmy . . oto na scenie stoi sentymentalna Precjoza, z gitarą w ręku i tkliwe, czułe tyrady wygłasza do księżyca, który w postaci żółtego krążka, malowanego na kawałku szaro-niebieskiego płótna, wznosi się ni mniéj ni więcéj na półtora łokcia nad jéj głową.

Na scenie, wedle słów cyganki, panuje urocza pogoda, ale złośliwe niebo, jakby na urągowisko, wylewa obfite strugi deszczu . . . Publika hurmem skacząc przez baryjery ciśnie się pod płócienny daszek... Po chwilowym szmerze następuje cisza... wszystko idzie jak najlepiéj... aliści deszcz powoli przemoczywszy płótno, zaczyna przeciekać wąziutkimi strumieniami... W jednéj chwili nad głowami wznosi się las parasolów i parasolek...

Proszę siadać!— Proszę nie zasłaniać

Precz z parosolkami! Prosimy o cichość!... Proszę nie przeszkadzać aktorom!...te i tym podobne krzyki mieszają się ciągle, rosną stopniowo, tworzą razem ze szmerem poruszającéj się publiczności gwarliwą kakofoniją.... Precjoza zakrzyczana, zrobiwszy krzywą minkę, rejteruje ze sceny, a publiczność hurmem tłoczy się do salonów restauracyi, gdzie po doznanym zawodzie popija klarownego bawara...

Poznawszy tak zewnętrzną fizyognomiją, przypatrzmy się teraz wewnętrznéj stronie tego teatrzyku... aktorom, reżyseryi, repertuarowi. Na czele postawić należy samego dyrektora, pana Trapszę, przed sześcią laty jednego z lepszych artystów Warszawskiego teatru. Pamiętamy, że przy pierwszych krokach jego scenicznego zawodu wróżono mu nawet przyszłość wielkiego aktora, ale zarazem zarzucano brak istotnéj gorliwości artystycznéj. Talent pana T. dosyć rozmaity, wszelako najświetniéj się okazuje w rolach wymagających energii i zamaszystości. Grywał on dawniéj nawet role pierwszych, kochankow ale mniéj szczęśliwie—a celował w rolach wojskowych i charakterystyczno-dramatycznych. — Głos jego silny i giętki, chociaż gardłowy, dykcya wyraźna i poprawna, giest szeroki i swobodny, charakterystyka dosyć urozmaicona—tylko mimika niezbyt obfita. Z rol obecnie grywanych przez tego artystę zasługują na uwagę: postać tytułowa w dramacie, *Stary Kapral*, w którym scenę główną, odzyskania nagłego mowy, odegrał z potężną, wzruszającą siłą i prawdą; rola Krzykalskiego w komedyi Bogusławskiego, *Opieka wojskowa* i Montignac'a, w *Serafinie*. Z dawniejszych na scenie Warszawskiéj przedstawionych odznaczały się: rola Rembajły, w *Liście żelaznym*, Cześnika w *Zemście*, Bolinbrogka w *Szklance wody*, Warnerta w *Życiu Szulera*, a przedewszystkiém Bernarda w *Maupracie*.

Obok niego postawić należy pana Teksla, znanego także naszéj publiczności z gościnnych występów. Stoi on niesłychanie wyżéj od wszystkich salonowych kochanków naszéj sceny. Tam gdzie potrzeba lekkości, swobody, elegancyi, werwy i szyku, pan T. jest prawdziwie wyśmienity. Szlachetna, piękna postawa, pełne dystynkcyi i rzeżkości giesta, nacechowane obok tego harmonijną okrągłością zataczanych linij — wielka wprawa w szybkiéj, konwersacyjnéj rozmowie, nieudany humor igrający bardzo zręcznie najsubtelniejszymi odcieniami iskrzącego dyalogu, zręcznych, francuskich bluetek, wszystkie te zalety czynią z pana T. artystę niezmiernie sympatycznego i bardzo pożądanego dla sceny Warszawskiéj.

Trzecim z kolei jest p. Delchau, artysta zdolny, sumienny i pracowity, celujący komizmem, głębokiém pojęciem i doskonałém wyuczeniem się roli, pod którym to względem może służyć za wzór wszystkim artystom prowincyonalnym. Odtwarza szczęśliwie i z całą prawdą role żydów.

Obok tego przez czas niejaki występował w Tivoli p. Wardzyński, młody, obiecujący artysta, znany z debiutów na scenie Warszawskiéj. Odznaczał się młodzieńczym zapałem i prawdziwą chociaż trochę nieokrzesaną jeszcze siłą dramatyczną. Niezbyt szczęśliwy w ustępie z kupca Weneckiego, Szekspira, (Rola Szajloka, Akt III Scena II) odtworzył z powodzeniem rubasznego majtka w *Piotrze Marynarzu* i zagrał efektownie dramatyczne sceny w *Ricie Hiszpance*. Zresztą z personelu męzkiego zasługują jeszcze na wzmiankę: pan Grabiński, posiadający wiele szlachetnéj dystynkcyi, jako Gustaw w *Opiece Wojskowéj* i bardzo szczęśliwy, w arcy trudnéj charakterystycznéj roli, w pięknym dramacie „*Ubodzy w Paryżu*." — Pan Siennicki aktor niewielkich zdolności, z głosem przykrym, skrzypiącym, ale celujący wyborną charakterystyką twarzy i opracowaną giestykulacyją. Nareszcie pan Morozowicz, okazujący zdolności prawdziwe w rolach niższéj komiki.

Z personelu żeńskiego, jedyną, prawdziwą artystką jest pani Grabińska, grająca wszystkie trudniejsze role dramatyczne. Używa ona zanadto tonów wysokich, zbyt jaskrawo traktuje wybitniejsze szczegóły swéj roli, nie zdobędzie się na subtelne modulacyje, przejścia i cieniowania szczegółów pomniejszych, ale zawsze wzrusza niekłamanym zapałem i siłą głosu, z któremi się łączy umiejętne wniknięcie w istotę przedstawianéj postaci. Role uczuciowe grywa z wdziękiem p. Sochaczewska, a role naiwne p. Zimaier, wiecznie jednakowa ale posiadająca żywość i swobodę na scenie. Obok tego wspomnieć należy p. Czapską grającą swobodnie, ale nadto szkicowo, pospiesznie i chłodno, i panią Siennicką, aktorkę prawie żadnych zdolności, ale ujmującą wdziękiem postawy i gracyą ruchów.

Widzimy tedy, że personel trupy pana Trapszy wcale jest bogaty, jak na teatr prowincyonalny. I rzeczywiście, możnaby niejednéj nawet lepszéj sztuki wysłuchać tam z przyjemnością. Tylko że takie sztuki lepsze, w jakimbądź zakresie, dyrektor nader w homeopatycznych dozach udzielał. Podstawę repertuaru stanowią stare francuskie dramata i komedyje intrygowe, jak np. Marya Joanna, Córka Gałganiarza, Żebraczka, Czaszka Mordercy, Bitwa pod Wimpfen, albo też niemieckie sztuki czarodziejskie, jak Gałganduch, Młyn Djabelski, który mówiąc nawiasem jest największą niedorzecznością i nędzą sceniczną, jaką kiedykolwiek słyszeliśmy w teatrze. Obok tego grywano po większéj części jednoaktówki znane i nieznane na Warszawskiéj scenie i kilka większych dzieł dramatycznych, istotnéj wartości.

Odśpiewano także kilkanaście operetek Offenbacha i Suppego. Co prawda chóry pozwalały sobie często niezbyt przyjemnych fałszów, melodye solistów kłóciły się z akompanijamentem orkiestry, która także w swoim łonie piastowała wielce anarchiczne żywioły.. ale jakoś to się wszystko nadrabiało dobrą miną i werwą komiczną. Za największą wadę wszakże poczytujemy p. Trapszy, że tak mało odgrywał dzieł oryginalnych a mniéj jeszcze sztuk swojskich, ludowych, które, bądź co bądź, powinny być najgłówniejszém zadaniem tego rodzaju teatrów.

Dodawszy tylko pobieżnie, że wystawa sceniczna zdradzała zasobność i gust prawdziwy, a reżyserya brak energii i staranności w układzie scenicznym i wyprobowaniu dostateczném — przechodzimy teraz do drugiego przybytku dramatyczności.

(Dokończenie nastąpi).

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Kurjery: Warszawski i Codzienny, w pierwszych latach założenia tego drugiego organu, były tak do siebie podobne, nie tylko treścią lecz i wartością ich redagowania, że stanowiły prawdziwy dyftong braci Siamskich, w piśmiennictwie brukowém. Wiadomo że Kurjer Warszawski, założony w charakterze pisemka dla anonsów, reklam i nowinek miejskich, przez długi lat przeciąg trwał na takiém stanowisku i trzymał się ściśle raz obranego programu. Był to po prostu Przewodnik miejski, wychodzący codziennie, w którym każdy z mieszkańców Warszawy i każdy z przyjeżdżających tu podróżnych, mógł powziąść wiadomości dokładne i bieżące o wszystkiém: stąd dowiadywał się gdzie co kupić, sprzedać lub kędy zabawić się było można; gdzie nawet w formie pobieżnych wzmianek mieściły się nowiny z literackiego i artystycznego świata.—Otóż, taki przewodnik, rospowszechniony bardzo, wsparty ogłoszeniami przysyłanemi od całego hurtowego i detalicznego handlu i przemysłu w kraju—był arcy wygodną synekurą dla swojego wydawcy, który przy bardzo małém wysileniu umysłowém, zbierał nader znaczne dochody. Po założeniu Kurjera Codziennego, przez lat kilka nic się w sposobie prowadzenia obudwóch tych pism nie zmieniło. Chwaliły one na wyścigi — hojność możnych, świetne tualety dam, opisywały

bale i różne festyny, zachwalały ten lub ów towar, winszowały imieniu S-tym: Józefom, Janom, Marcinom i innym patronom lub patronkom — składały serdeczne życzenia nowo zaślubionym parom małżeńskim, donosiły o niemowlęcych talentach małoletnich wirtuozów, a już wogóle—wystrzegały się, by najmniejszą nawet krytyką obrazić, nie tylko któregoś z „szanownych prenumeratorów“ lecz nawet kogoś z ich krewnych i powinowatych. I byłby może do dnia dzisiejszego trwał był podobny stan rzeczy, gdyby nie postępowe upadanie jednego z tych Kurjerów, mianowicie zaś Warszawskiego, które skłoniło właścicielkę tego organu, do odstąpienia go w ręce dzisiejszego wydawcy, człowieka zabiegłego, przedsiębierczego a zarazem reprezentanta jednéj z najpierwszych firm bibljopolicznych. Odtąd już Kurjer Warszawski, począł zmieniać ciągle i wytrwale swój program dawniejszy i dążyć do przerodzenia się w organ istotnie literacki.

Jednakże radykalna zmiana w programie i wogóle w całéj organizacyi Warszawskiego Kurjera, rospoczęła się dopiero wraz z objęciem redakcyi tego pisma przez Wacława Szymanowskiego. Ten zdolny i doświadczony publicysta, pisarz z wytrawnym sądem i piórem, zrozumiał odrazu jakie właściwie stanowisko organ tak popularny mógłby zająć w publicystyce tutejszéj; pojął to dobrze że obecnie już ogółowi czytelników nie wystarczają same fatałaszki i reklamy ocukrowane i ugarnirowane na rozmaity sposób, głównie zaś, zrozumiał doskonale ten redykalny warunek, że aby pismo jakieś w dzisiejszym czasie mogło liczyć na czytelników, musi być koniecznie wydawane przez ludzi pojmujących ważność zadania i zawierać artykuły pisane przez ludzi fachowych, literatów z powołania i zdolności, nie zaś przez amatorów, nie mających wyobrażenia o stylu a gardzących wszelkiemi prawidłami gramatyki nawet. Raz rospocząwszy taką radykalną reformę, W. Szymanowski poszedł już wytrwale i niezachwianie po obranéj drodze — a zaopatrzywszy redakcyę kurjera w pióra zdolne i świeże, nadawszy słowu tego pisma pewną powagę, nie pozbawiając go wszakże lżejszéj, z natury rzeczy wynikającéj niekiedy, formy—zmieniwszy wreszcie format i całą tendencyę tego niegdyś tak błahego pisemka, uczynił zeń organ pożyteczny i wartościowy zarazem. Nie powiemy ażeby i dziś jeszcze, nie było jakichś usterek w szczegółach wydawnictwa Warszawskiego Kurjera, lecz usterki te są drobne a przymioty nie małe i ciągle się mnożące. To też publiczność warszawska i prowincyonalna w części, umiała ocenić taką poczciwą i umiejętną pracę i dziś, Kurjer Warszawski wyrobił już sobie potężny zastęp abonentów, których liczba ciągle się zwiększa, skutkiem rzeczywistéj wartości tego, istotnie dziś już wiernego organu publicznego, który, nietylko sam po właściwéj drodze śmiało i wytrwale kroczy lecz i innym nieraz drogę wskazuje.

Cała ta reforma tak radykalna, jaka spełniła się w ramach Kurjera Warszawskiego, wynikła z zapełnienia staréj, rutyniczéj formy, nowym, świeżym żywiołem, który rozparł też odrazu krępujące go brzegi i wezbrał dokoła nich szeroko, zagarniając żyzne okolice—stary zużyty tołów stopniał od kipiących warów młodości, która go ożywić choćby zgalwanizować zapragnęła. Prawda że czasem niektóre z tych młodych piór, jakiemi Kurjer Warszawski swoje skrzydła wzmocnił, zbył lotnie a raczéj zbyt ulotnie fruwają, lecz czuć że je w tych porywach nieoględnych hamuje zawsze jakaś silna i doświadczona ręka — a tak cała sprawa zazwyczaj dobrze się kończy. Dziś, trzeba przyznać, że z powodu letargicznego uśpienia i zupełnéj martwości, w jakich pogrążają się coraz bardziéj, z dniem prawie każdym, obydwie większe Gazety: Warszawska i Codzienna, Kurjer Warszawski, pod teraźniejszą redakcyą *de facto*, tak pod względem żywotności, jak baczności na swojém stanowisku, z powodu nawet sądów, acz ścieśnionych ramami, jakie w różnych sprawach wydaje, głównie zaś z powodu śmiałéj inicyatywy, z jaką sam jeden prawie często występuje—jest jedynym organem reprezentującym ruch i życie miejscowe, we wszystkich nieomal gałęziach nic przeto dziwnego że stał się tak pożytnym obecnie. Zasługa, i to rzetelna zasługa takiego stanu Kurjera należy się poczęści przedsiębierczemu jego wydawcy, p. Goebetnerowi, lecz główna spływa na p. Wacława Szymanowskiego.

Inne są całkiem Kurjera Codziennego dzieje. Pisemko to, dotąd jeszcze nie może się otrząść z zapleśniałéj rutyny *kurjerkowéj*, którą, tak jak warszawski jego rodzic, od początku swego istnienia przyjęło. Wprawdzie, parte ciągle i silnie przez ruchliwego i przedsiębierczego współzawodnika, zdąża w części za jego inicyatywą i reformuje się, w ślad za nim, powierzchownie--a nawet, już niekiedy i w artykułach odrębnych przybiera formę postępową — lecz widocznem jest że ustępstwa te czyni jedynie pod naciskiem konieczności; że przekonania jego redakcyi ciągną ją zawsze ku dawniejszemu, tak wygodnemu stanowisku, które dozwolało redagować pismo bez redakcyi i nazywać się organem literackim, bez pomocy żadnego literata, bez udziału jednego choćby istotnie utalentowanego pióra.

Nie mamy nic przeciwko zasadom redakcyi tego pisma, w społeczném ich znaczeniu; popiera ono chętnie każde uczciwe przedsięwzięcie, każdą pracę uszanuje, a każdemu nieszczęściu za pośrednika pomiędzy niém a miłosierdziem służy — lecz i w tém wszystkiém, nie zachowuje żadnego rozgraniczenia — bo chwali także i nieznane sobie lub wątpliwe w reputacyi publicznéj przedsiębierstwa, bo nigdy prawie nie śmie stanowczego wypowiedzieć słowa.

Jeżeli Kurjer Codzienny np. oceniając jakąś sztukę na scenie, powie, że jakiś aktor lub śpiewak, słowém artysta mający tam pierwszą rolę i pierwszy telentem, grał doskonale, to nieomieszka nigdy dodać, zaraz potem—że i wszyscy inni, także doskonale grali;—jeżeli opisując wystawy cukiernicze na święta, pochwali Loursa, doda zaraz natychmiast, że i pp. A. B. C. i t. d, także cukiernicy, również wystąpili świetnie—słowem, w ocenieniu utworów sztuki czy przemysłu, we wszystkiém znać w tém piśmie ustawiczne wahanie się, brak stanowczości i zupełną nieobecność inicyatywy. Często też, lubo w dobréj, jak mniemamy wierze, Kurjer Codzienny występuje w obronie takich instytucyj prywatnych, które żadnéj nie mają zasługi a imponują tylko, bądź datą długoletniego istnienia, bądź możnością indywiduów, będących jéj członkami czy akcyonaryuszami. Wtedy już pismo to bezwzględnie sławi zasługę, pracę, cnoty, słowem wszystkie niebywałe przymioty korporarcyi, wraz z składającemi je indywidualnościami, i na tém polu, na którém właśnie organa publiczne ścisłą straż trzymać powinny — nigdy on, za nic w świecie nie ośmiela się wystąpić z najlżejszą nawet, choćby i najsłuszniéjszą krytyką. Być może iż redakcya tego pisma robi sobie tym sposobem wielu przyjaciół pomiędzy indywiduami, lecz ogół a nawet też same indywidua, o ile stoją wogóle—lekceważą za to samo Pismo i do jego zdania żadnéj nie przywiązują wartości. A już największą wadą Kurjera Codziennego jest to, że w składzie swoich współpracowników nie ma ani jednego pisarza z talentem, ani jednego nawet publicysty z wytrawném piórem i bystrym, postrzegawczym zmysłem. Ztąd w artykułach tam zamieszczanych, o ile one za kres prostych nowinek lub reklam wybiegają, panuje taka niedołężność, tak zupełny brak, nie już kompetencyi lecz najpierwszych nawet warunków stylu, że często bardzo czytelnik z śmiechem pustym czyta artykuły przeznaczone na rozrzewnienie go właśnie, a oburza się na takie które go zabawić miały.

W ostatnich np. czasach, dział tak zwanych sprawozdań teatralnych, dziwnym ulegał fazom: przed kilku tygodniami ktoś pisał w Kurjerze sprawozdania tak niedołężnym stylem, (O weselu Figara i o Żonach płaczących np.) że już niepodobna sobie wyobrazić nic bardziéj niezdarnego i nieudolnego; było to tak pospolite tak nieumiejętne pióro, że nietylko pomiędzy literatami lecz pomiędzy ludźmi nie mającymi najmniejszéj do autorstwa pretensyi, nikt by się doń nie przyznał. Było to złe niezawodnie — lecz redakcya snadź spostrzegłszy je, zamieniła na gorsze—bo zaraz potem, nagle—zdaje się wraz z powiększeniem formatu, tę nieszczęsną rubrykę teatralną zaczął pisać jakiś inny autor, który w tak rzewnie-czułe i w tak abstrakcyjnie-absurdyczne zatopił się frazesy i ogólniki, że doprawdy czytając te, Bóg wie już skąd, wydobyte płody, mniemaliśmy że redakcya na żart je tylko zamieszcza. — Pojmujemy że redakcya Kurjera Codziennego, chce może, posługując się piórami samouczków, którzy w jéj szpaltach odbywają próby zawczesnych pokuszeń autorskich, oszczędzić sobie wydatków—bo dziś rubryki prowadzone przez ludzi zdolnych i kompetentnych dość drogo kosztują — ale pojmujemy i to także, iż tylko takie właśnie, istotnie zdolne pióra, mogą pismu trwałą i pomyślną zapewnić egzystencyę — a to przecież jest głównem każdego przedsiębierstwa zadaniem. Zresztą, czyniąc tak ostre Kurjerowi Codziennemu zarzuty, nie jesteśmy mu nieżyczliwi — owszem, pragnęlibyśmy ażeby to pismo poczuło swe siły i podniosło się z intellektualnego upadku. A to rzecz łatwa, bo ramy są—trzeba w nie tylko obraz wstawić—forma gotowa, trzeba ją tylko napełnić duchem ożywczym.

Ani spostrzegłszy się nawet, tak rozpisaliśmy się o dwóch Kurjerach, że na trzeci—Świąteczny i na jego satellitkę — Muchę, nie mamy już dzisiaj miejsca. W następnym przeto Numerze zajmiemy się tymi, tak jaskrawymi fenomenami lituratury zabawnéj a przy téj okazyi rzucimy pogląd na stan i warunki, całéj wogóle, humorystyki tutejszéj.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Tu wmięszała się do rozmowy księżna Orbeliani.

— „Ona jest żoną generała francuskiego i zapłaci za siebie wykup.“

— „Kiedy tak,“ odezwał się pierwszy—„to dla Szamila imama.“

Na to imię wszyscy umilkli. — Tymczasem podjechano do fortecy. Na tarasie, przy wschodach do niéj prowadzących, stał po obu stronach oddział złożony z jakich dziesięć tysięcy ludzi, na pół nagich, między którymi branki musiały jechać. Ludzie ci pożérali je wzrokiem. Pierwszy to raz widzieli oni kobiety z otkrytą twarzą, ale jakie kobiety! gruzinki!... Krzyki ich nie miały nic w sobie ludzkiego i były raczéj podobne do wycia wilków, tropiących wilczyce. Biédne kobiety, zakrywały twarz rękami, żeby nie widzieć i nie być widzianemi. Wśród tego motłochu można było rozpoznać naibów Szamila, po ich żółtych blachach. Wstrzymywali oni jak mogli górali, którzy inaczéj pewnie byliby się rzucili na kobiety. Co chwila musiano odpędzać najnatrętniejszych, bijąc ich pięściami i batami i grożąc szaszkami.

Nakoniec, z roskazu Szamila przyszedł po księżne, dzieci i służbę ich, intendent jego, Hadżi - Cherych. Księżna Orbeliani pierwsza weszła na drabinę, przez którą wchodziło się do fortecy. Tu kazano brankom zejść z kilku pięter, także po drabinach, do podziemia, do którego słabe tylko światło się przedzierało. Czworo dzieci już w niém było: Jerzy Orbeliani, Salomea, Tamara i mały Aleksander. Księżna Czawczawadze przyszła w pół godziny potém. Pierwsze jéj słowo było: „A Lidya, kto z was widział Lidyę?“ — Ale nikt jéj nie odpowiedział. Księżna zdrętwiała od znużenia i boleści i zsunęła się na pół żywa na ziemię.

W téj chwili dziecko, tegoż niemal co i Lidya wieku, zaczęło płakać.

— „Moja córka!“ zawołała księżna, „moja córka!“

— „Nie,“ odrzekł głos nieznajomy, „to nie twoja córka, „księżno. To moja mała siostra, która od wczora rano nic nie jadła i prędko umrze.“

— „Nie,“ rzekła księżna, „podajcie mi ją.“ Przyniesiono małą Ewę i księżna łkając dała jéj piersi.

Wtém wszedł Hadżi - Cherych. „Szamil potrzebuje księżnę Czawczawadze,“ rzekł.

— „Czegóż chce od niéj?“ zapytała księżna.

— „Chce z nią mówić.“

— „To niech tu przyjdzie; ja do niego nie pójdę.“

— „Szamil jest imamem,“ rzekł Hadżi - Cherych.

— „A ja księżną,“ odrzekła branka. Po téj rozmowie Hadżi-Cherych oddalił się. Kiedy intendent odniósł odmowną odpowiedź księżnéj imanowi, Szamil pomyślawszy chwilę rzekł: „To dobrze, zaprowadź ją do Wedenu; tam się z nią zobaczę.“

Podziemię tymczasem coraz więcéj napełniało się ciekawemi, bo już wieść rozeszła się była po okolicy, że wdowę księcia Orbeliani z synem przywieziono do Pochalskiéj twierdzy. Książe Orbeliani był bardzo popularny między góralami, którzy lękali się go, lecz obok tego podziwiali jego męztwo.

Książę był raz wzięty do niewoli przez Szamila i zaprowadzony do Wedenu. Szamil mocno się ucieszył dowiedziawszy się kim był ów jeniec. W każdym bowiem starszym wziętym do niewoli oficerze rossyjskim widział środek wymiany ulubionego syna swego, Dżemal - Eddina, którego mu, jako zakładnika, dzieckiem z twierdzy Achulgo zabrano. Kazawszy więc przyprowadzić do siebie księcia, rzekł do niego:

— „Wolność twoja od ciebie zależy.“

— „Naznacz cenę wykupu,“ odrzekł książe, „a jeżeli nie będzie przechodziła mojéj możności, zapłacę ci.“

— „Nie idzie tu o pieniądze.“

— „O cóż więc?“

— „Głowa za głowę.“

— „Nie rozumiém ciebie.“

— „Napisz do Cesarza Mikołaja żeby mi oddał syna, a ja wymienię ciebie za niego.“

— „Dostałeś pomięszania zmysłów“ — rzekł książę, — „alboż o podobnych rzeczach można pisać do Cesarza Mikołaja?“ — i odwrócił się tyłem do Szamila.

Szamil kazał go odprowadzić do więzienia, nie rzekłszy ani słowa.

Po sześciu miesiącach Szamil znów kazał przyprowadzić księcia i zrobił mu też samą propozycyę; lecz takąż jak pierwszą razą otrzymał odpowiedź. Szamil kazał go wsadzić do jamy. Do jamy téj schodziło się po drabinie, którą zaraz wyciągano, tak, że gdyby nawet otwór pozostał niezamkniętym, więzień nigdy z niéj uciec nie mógł. Za całą żywność dawano tam kawałek czerstwego chleba i dzban wody, tak, że po niejakim czasie głód i wilgoć zabijały więźnia.

Od czasu do czasu Szamil przysyłał do księcia, zapytując, czy zgadza się napisać do Cesarza; ale książę przestał nawet odpowiadać. Prawda, że słabość jego doszła była do takiego stopnia, że ledwie mógł mówić. Kiedy Szamilowi doniesiono że książę nie przeżyje i tygodnia w tém okropném więzieniu, Szamil kazał go wyprowadzić na dziedzieniec, przed harem, skąd z jednéj z pobliskich celek, sam niewidzialny, mógł widzieć wszystko co się na dziedzieńcu działo.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(*Dalszy ciąg*).

— Żal mi że nie przyszłam na świat przed pięciuset laty.

— Pięciuset! poważnie powtórzył stryj Edward.

— Tak, — rzekła Sybilla — nie cierpię warunków bytu w jakich się dziś znajdujemy.

— Chciałbym tylko wiedzieć, rzekł stryj Edward, jakby ci owe czasy przypadły do gustu.

— Najzupełniéj, zachwycałabym się nimi.

Stryj Edward wpadł w zasadzkę, potrząsnął głową niecierpliwie i rzekł:

— Dobrze. Jak naprzykład podobałoby ci się życie za czasów walecznego i prawego rycerza Bertranda Du Guesclin, którego kronikę w tych dniach czytałem? Był to prawdziwy rycerz, ale niestety, w czasach tych żyło się w dziwny sposób. Wszczęła się walka między Angliją a Francyą, a ponieważ pieniądze zawsze były nerwem wojny, nasz Bertrand wszedł do pokoju matki i zabrał jéj szkatułkę z klejnotami. Panią matkę, jakkolwiek pobożną kobietę, dotknęło to; wkrótce jednak potém, szlachetny Bertrand wynagradza jéj krzywdę. Napotkawszy jakiegoś angielskiego rycerza, zabija go, w bagażach znajduje inną szkatułkę z klejnotami i tę niesie matce swéj w podarunku. A matka, pobożna dusza, przyjmuje, ciesząc się że ma tak dobrego syna.

— Nie mogę uwierzyć iżby Du Guesclin był złodziejem — rzekła Sybilla z oburzeniem.

— Złodziejem! któż to powiada? Ale żył w czternastym wieku, który takie czyny uważał jako prawe, wielbił je i zapisywał dla potomności. Mimo tego, kronika o rycerzu Du Guesclin jest bardzo piękna. Jest tam opis wojska przed bitwą, z błyszczącemi lancami, grzmiącemi trąbami, chorągwiami powiewającemi, wszystkiém co cię zachwyci, Sybillo; tylko zrób tak, jak robią wszyscy uwielbiacze Średnich wieków: opuszczaj czarne stronnice, jak naprzykład opis kompanij ochotniczych, których i ekskomunika Papieża nie zdołała skasować, a które po zdjęciu ekskomuniki rabowały tak samo jak i przedtém.

— Stryju, — rzekła uroczyście Sybilla — masz pogląd jednostronny. Bezwątpienia, były to surowe czasy, ale ileż w nich poezyi było!

— Kto tam czuł tę poezyę wtenczas? Może minstrele, trubadurzy? wątpię bardzo. Prawdziwy poeta opiewa wojnę, ale jest dzieckiem pokoju. Zresztą najukształceńsze owych czasów umysły nie zwracały się do poezyi; chroniły się do klasztoru przed burzami świata. A ówczesne kobiety mogłyż mieć upodobanie w poezyi, kiedy były nagrodą siły? Młode dziewczę, jak ty Sybillo, rozprawiając o takich przedmiotach, byłoby wtedy potworném zjawiskiem.

Sybilla zawsze stawała w obronie praw swojéj płci do umysłowego rozwoju, a stryj Edward zwalczał jéj wygórowane pretensye tego rodzaju. Gdy więc dotknął tego dawnego spornego punktu, Sybilla zawołała tryumfująco:

— Aha, schwytałam cię stryju, schwytałam. Powiedziałeś przeszłego wieczora że pragnienie wiedzy jest modną maniją u panien.

— I tak jest, obstaję przy swojém.

— Średniowieczne wyobrażenia!—zawołała Sybilla, klaszcząc w ręce. Chcesz trzymać kobiety w nieświadomości Średnich wieków, a teraz tymże wiekom robisz zarzut z nieświadomości kobiet. Nie znam logiki, stryju, ale pewna jestem że nie masz racyi.

— Być może, rzekł stryj z uśmiechem.

Sybilla pobiegła do ojca.

— Ojcze, zwyciężyłam stryja w argumentacyi, czy to nie chluba?

— Tak, jeżeli poddanie się nie było dobrowolne.

„Rozumie się że nie,“ chciała odpowiedzieć Sybilla. gdy powstrzymało ją nagłe otwarcie drzwi, i wejście miss Glyn...

Zacna ta dama wkroczyła pompatycznie z podniesioną głową i jak z pierwszego rzutu oka dostrzegł Kennedy, przygotowana do jakiegoś dramatycznego wystąpienia. Bądź co bądź, Kennedy zrobił minę wesołego zadziwienia, wykrzyknąwszy:

— Kochana Marya! jak to dobrze z twojéj strony! Brat Edward — Moja siostra cioteczna, miss Glyn.

Stryj Edward stał obrócony tyłem do kominka. Ukłonił się i uśmiechnął. Spoglądająca z boku Sybilla nie mogła jednak ocenić, czy to był uśmiech grzeczności, czy też wywołany szczególnym wyrazem twarzy miss Glyn. Widziała że jakaś dziwna historya zajść miała w jéj obecności, ale nie mogła odgadnąć o co chodzi. Nareszcie miss Glyn odetchnąwszy rzekła:

— Tak więc postępujesz, panie Kennedy? —

I wyszła z pokoju zaczerwieniona od gniewu.

Kennedy rozśmiał się głośno. Stryj Edward uśmiechnął się, poczém rzekł:

— Zdaje się że moja obecność w tym domu nie jest miłą pannie Glyn.

— Przywyknie, rzekł niedbale Kennedy, i zaczął z bratem rozmawiać o czém inném.

Sybilla wyglądała bardzo zakłopotana, ale ojciec i stryj zdawali się tego nie dostrzegać, jakby jéj wcale nie było w pokoju. Ciekawość jéj rosła z każdą chwilą. „Może dowiem się od ciotki“ myślała sobie—i wysunąwszy się z biblioteki poszła na górę.

Miss Glyn była w swoim pokoju, — zdejmowała czepek.

— Ciotko, co się stało? zawołała.

— Sądzę że wiesz, odpowiedziała miss Glyn, oschłym tonem.

— Przypuszczam że chodzi o przybycie stryja Edwarda, ale ciotko, on taki dobry.

— Nie wynurzyłam żadnego zdania w tym przedmiocie — odpowiedziała ciotka — i proszę cię, nie mówmy o nim. Jużeśmy i tak zawiele mówiły.

— Ależ ciotko, nic nie powiedziałyśmy... a chciałabym żebyś nie była uprzedzoną przeciw niemu — to nie żaden ordynarny Smith, ale kompletny dżentelman.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWINY.

PP. J. Czarnecki i Ł. Masłowski przetłumaczyli: *Dzieje utworzenia przyrody*, D-ra Ernesta Haeckela.

Wkrótce opuści prassę drukarską zeszyt III. *Bibliografii polskiéj*, Karóla Estrejchera, dociągnięty do wyrazu: *Dramatycy*. Czwarty zeszyt, który zamyka tom pierwszy tego dzieła, z końcem litery *E*, wyjdzie w roku przyszłym, na wiosnę.

Romuald Zientarski wydał: *Śpiewnik kościelny* (Cationale ecclesiasticum), obejmujący pieśni, hymny, antyfony, nieszpory etc. z melodyami, oraz objaśnienia tyczące się świąt i obrzędów kościoła rzymsko-katolickiego, ułożony podług muzyki kościelnéj chóralnéj i figuralnéj.

Pan Adolf Aleksandrowicz, chemik krakowski, ogłosił drukiem: *Rozbiór chemiczny dwóch źródeł wody siarczanéj Krzeszowickiéj.*

Lucyan Siemieński wydał obszerną i zajmującą monografję: *Wacław Rzewuski i jego przygody w Arabii, opowiedziane z pism pozostałych po nim.*

W Gazecie Szląskiéj, z dnia 16 Lipca r. b. jest obszerny i ciekawy artykuł o Górnym Szląsku pod względem językowym, pod tytułem: Eine Sprach-Frage.

Powieść T. T. Jeża, p. t. *Uskoki*, została przetłumaczoną na język rossyjski.

Dzieła *Dzierżawina*, z komentarzami Grota, wyjdą w nowém wydaniu.

Palacky ogłasza nowe wydanie w zeszytach, swoich: *Dziejów narodu Czeskiego.*

Na Wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych przybyły następujące nowości: Kotsisa, Powrót z Kalwaryi,—Chełmońskiego, Zadymka, — Welońskiego, Płaskorzeźba z marmuru, popiersie damy, studium, — tegoż, Chrystus przy słupie, z kamienia, — i Alchimowicza, Chrystus na krzyżu, rzeźba z drzewa.

Kazimierz Łada, znany skrzypek, kompozytor i autor dziełka p. t. Historya muzyki, zmarł w Włocławku, dnia 5 b. m. na apopleksję. Urodził się w Kaliskiém, w bliskości miasta Koła. Napisał ze 40 kompozycyj, pod rozmaitymi charakterystycznymi tytułami, jak np. Cygan, Kujawiak, Krakowiak, Lublinianin, Sandomierzanin i t. d.

Znakomita artystka śpiewaczka, pani Frederici Jakowicka, dziś opuszcza Warszawę, udając się na Paryż do Walencyi, gdzie została zaangażowaną jako prima - donna do opery włoskiéj.

Dnia 13 Sierpnia odbyła się w Kutnie loterya fantowa, na korzyść Szpitala S-go Wincentego. Dochód z niéj wynosi około 600 rs.

Departament medyczny ma zamiar obniżyć taksę lekarstw.

W Galicyi wypada 1 szkoła na 2286 mieszkańców. Fakt niebardzo pocieszający.

W Benningtonie (w Ameryce) zawiązało się Towarzystwo kobiet, mających nie wchodzić w żadne stosunki z mężczyznami używającymi tytoniu.

HUMORESKA.

WIRTUOZ.



Nr. 4. Maëstoso!

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою 30 Августа (11 Сентября) 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.